

MARGINESY

Wielka miłość

Kamila od lat miała jedno marzenie – zakochać się bez pamięci. Ze względu na wygląd, który starała się maskować workowatymi ubraniami, niezamężną rodziną, z której pochodziła, i ogromną nieśmiałością nigdy nie miała chłopaka. Nigdy nie dostała walentynkowej kartki czy niespodziewanego mikołajkowego prezentu. Z zazdrością patrzyła na klasowe koleżanki, które przeżywały swoje wielkie miłości i z którymi bezwstydnie obnosiły się wśród znajomych. Zazdrościła im nawet tych zawiedzionych miłości, którym od późnej podstawówki towarzyszyły całonocne dziewczęce spotkania, gdy wypłakiwano oczy, rzucano klątwy i zużywano tony chusteczek. Kamila kilka razy – zaproszona raczej przez przypadek – znalazła się na takiej babskiej posiadówce i marzyła o tym, żeby takie emocje towarzyszyły jej choć przez chwilę. Nie umiała jednak ani schudnąć, ani zmienić się na tyle, żeby przestać być wyrzutkiem klasowym i szkolnym pośmiewiskiem. Wpadła jednak na pomysł, który miał podnieść jej atrakcyjność w oczach kolegów. Tuż po feriach, które tradycyjnie spędzała u ciotki w Krakowie, oznajmiła wszystkim, że jest szczęśliwie zakochana. Robert, o którym miała przez kolejne tygodnie ciągle paplać, był wysokim brunetem, pięć lat od niej starszym studentem uniwersytetu. Uprawiał hokej i koszykówkę, miał wielu kolegów i – jak twierdziła – stracił dla niej głowę. No i najważniejsze – był w dużej mierze wymyślony. Choć opisywany przez Kamilę chłopak rzeczywiście istniał, to nie była ona pewna, czy przynajmniej część z tych rzeczy jest prawdziwa. Owszem, przez całe ferie u ciotki codziennie go obserwowała – mieszkał z rodzicami w dużym domu znajdującym się vis-à-vis domu siostry matki Kamili. Sporo czytał, czasem ćwiczył ze sztangami, codziennie biegał i robił pompki, prawie każdego wieczora wychodził, pewnie na imprezy, i wracał chwiejnym krokiem mocno po północy. Fajnie, sportowo i modnie się ubierał. Pewnie nigdy nie dowiedziałyby się o istnieniu Kamili, gdyby nie to, że dziewczyna słabo się uczyła i jej ciotka wpadła na pomysł, by w czasie gdy nie ma nic do roboty, nadrobiła zaległości z matematyki, fizyki i chemii. Za niewielkie pieniądze Robert miał jej udzielać korepetycji, które opłacała ciotka.

Sam z siebie Robert pewnie nigdy nie odezwałby się do Kamili – w rzeczywistości nigdy też by się w niej nie zakochał, bo także widział w niej pryszczatą, mocno przy kości, a przede wszystkim – niewiarygodnie nieinteresującą, uzależnioną od głupich seriali i cukierkowych piosenek dla idiotek małolatę. Dlatego też Kamila wiedziała, że jej kłamstwo serwowane koleżankom ma krótkie nożki – i musi je jak najszybciej skończyć, żeby móc później publicznie rozpaczać po swojej zawiedzionej miłości. Jednak, wbrew temu, czego się obawiała, koleżanki łatwo lykły ścieg i oczekiwały na kolejne części telenoweli, które im serwowała. Pech chciał, że dwa miesiące później starszy brat jednej z jej klasowych koleżanek rozpoznał na zdjęciu swojego kumpla z Krakowa. Rozbawiony odkrył przed wszystkimi stek bzdur, jakie wymyśliła Kamila, pogrążając ją tym samym na dobre.

Kamila naprawdę wyobrażała sobie ich wspólne romantyczne spacerki, długie zimowe wieczory i ciepłe całonocne rozmowy. Wymyślony związek był dla niej namiastką prawdziwej relacji i nagle zakończenie go było prawie tak samo bolesne, jak gdyby był rzeczywistości. Nie trzeba chyba też wspominać o tym, na jakie ośmieszenie się narażiła. Na szczęście gimnazjum niebawem się skończyło – jednak ferment kłamstw i łatka kłamczuchy ciągnęły się za Kamilą bez przerwy. Próbując się ratować, łądowała się w kolejne bujdy. Jednocześnie nie za bardzo mogła liczyć na czyjąkolwiek pomoc. Gdy było już za późno – rodzice zdecydowali, że musi zainteresować psycholog, a ten niebawem skierował ją do psychiatry.

Kamila kolejny raz zmieniła szkołę – tym razem na taką, w której nikt jej nie znał. Stare krzywdy jednak ciągle wracały do niej jak bumerang – jeśli nawet nie naprawdę, to tak jej się wydawało. Postanowiła, że rozwiązanie tej sytuacji może być tylko jedno.

Ciało Roberta znaleziono wielokrotnie dźgnięte nożem w niewielkim lasku jakieś 200 metrów od jego domu. Codziennie, tuż po 7 rano, biegał tam i ćwiczył. Narzędzia zbrodni nigdy nie znaleziono, a mordercy nigdy nie ujęto, mimo że policja zabezpieczyła na śniegu liczne ślady.

Dwa miesiące później, na polecenie psychiatry, do którego przez cały czas chodziła, Kamilę umieszczono w zakładzie psychiatrycznym. Kiedy pogotowie zabierało dziewczynę, była spokojna i uśmiechnięta – miała z sobą tylko różowy plecak, a w nim sporo pamiątek po swoim jedynym, udanym związku.

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

Przedświątne rozważania

Mijający rok obfitował w wiele ważnych międzynarodowych imprez sportowych, w których uczestniczyli reprezentanci Polski. Dwie spośród tych imprez zdecydowanie wysuwają się na czoło. W dodatku jedna z nich odbyła się w Polsce – mam oczywiście na myśli Euro 2012. Sympatycy futbolu, a także liczna rzesza pozostałych obywateli naszego kraju liczyła, że impreza przyniesie Polsce wymierne korzyści. Czy tak się stało? I tak, i nie. Wybudowano cztery funkcjonalne stadiony. Przybyło sporo kilometrów dróg, chociaż nie tyle, ile planowano. Wątpliwości wzbudza jedynie stadion w Warszawie, który szumnie nazwano narodowym. Budowa tego obiektu znacznie przekroczyła planowane koszty. Złośliwi twierdzą nawet, że za te same pieniądze można by było wybudować trzy przyzwoite stadiony. Co gorsza jednak – nadal dokłada się do tego stadionu sporo pieniędzy. Przykładem może być wymienianie niemal bez przerwy murawy stadionu, która nigdy nie jest odpowiednia. Pieniądże na stadion płyną z ministerstwa sportu, czyli z państwowego budżetu. Innymi słowy – do tego stadionu dopłacają wszyscy polscy podatnicy. I prawdopodobnie będą dopłacać w dalszym ciągu.

Tajemnicą jest podobno, że przy budowie było wiele niedomówień i niejasności, by nie powiedzieć – niedoróbek. Jakie były tego przyczyny? Mówi się, że wiele osób ściśle związanych z budową tego obiektu wykazało się niekompetencją, a nawet niefrasobliwością, stąd opóźnienia w budowie i wzrost kosztów. Równocześnie osoby te nie poniosły żadnych konsekwencji. Mało tego – pobierały bardzo dobre pensje i otrzymywały w dodatku wysokie premie. Można brutalnie powiedzieć, że Warszawa sprawiła sobie stadion kosztem wszystkich polskich obywateli.

Obecnie zmieniono kierownictwo obiektu – nie zarządza nim już Narodowe Centrum Sportu. Zarządzanie przejęła spółka zwana EURO 2012 Polska. Istniała ta spółka przed i w czasie mistrzostw, jednak z jej działalności nic pozytywnego nie wynikło. Jest więc problem utrzymania stadionu w Warszawie. Uważam, że koszty jego utrzymania powinno ponosić miasto stołeczne, a nie cały kraj. Nie powinno się również przeznaczać pieniędzy na ten stadion z Ministerstwa Sportu. Środki, którymi dysponuje ministerstwo, powinny być przeznaczone na rozwój sportu w całym kraju, szczególnie na rozwój sportu wśród młodzieży.

Wróćmy jednak do ewentualnych korzyści wypływających z organizacji Euro 2012. Społeczeństwo, dzięki tradycyjnej gościnności, zyskało sympatię obcokrajowców, którzy zjechali do naszego kraju. To dobry owoc tegorocznych mistrzostw i należy się z tego cieszyć. Natomiast pod względem sportowym – mam na myśli naszą reprezentację – była to kompletna kłapa. W trakcie turnieju ujawniła się po raz kolejny słabość naszego futbolu oraz słabość naszej krajowej myśli szkoleniowej. Impreza nie wniosła żadnego konkretnego ożywienia do polskiej piłki, wszystko zaczęło się bowiem koncentrować wokół wyborów nowego prezesa i zarządu PZPN, zaś inne problemy usunięte zostały na dalszy plan. Wybrano nowego prezesa, którym został Zbigniew Boniek. Zmienił się też znacznie skład zarządu PZPN. Zbigniew Boniek zaczął wyjaśniać (czyścić) bałagan w futbolowej centrali. Zajął się m.in. przebiegiem przetargu na budowę nowej siedziby PZPN, a także kosztowną decyzją o zdjęciu orzełka z reprezentacyjnych ubiorów oraz przyznawaniem licencji poszczególnym klubom. Przewietrzenie piłkarskiej centrali jest we wszech miar wskazane. Równocześnie najwyższy już czas na opracowanie sensownego planu szkoleniowego, który pomoże podnieść poziom naszego krajowego futbolu. W przeciwnym wypadku nadal będziemy się emocjonować meczami Realu Madryt, FC Barcelony, Manchesteru United, Borussia Dortmund i innych zespołów, a na grę naszych drużyn będziemy psioczyć.

Nie umilkły jeszcze gorące dyskusje po nieudanych startach naszej futbolowej reprezentacji, a sympatycy sportu zaczęli słuchać wieści napływających z Londynu, gdzie odbywały się letnie igrzyska olimpijskie. Do stolicy Wielkiej Brytanii wyjechała liczna grupa polskich sportowców – ponad 200 zawodniczek i zawodników oraz trenerów, nie licząc tzw. osób towarzyszących. Przed wyjazdem apetyty medalowe były spore. Szefostwo naszego sportu i przedstawiciele poszczególnych związków zapowiadali, że nie będzie źle, że polscy sportowcy będą widoczni na olimpijskich arenach i liczyć się będą w rywalizacji o medale. Optymiści mówili nawet o 18–20 medalach, w tym 5–6 złotych krążkach. No cóż, kibice lubią marzyć. Londyńska rzeczywistość okazała się całkiem inna – w miarę trwania olimpijskiej rywalizacji optymiści kręcili z niesmakiem głowami po kolejnych nieudanych występach naszych reprezentantów.

W sumie polska ekipa zdobyła zaledwie 10 medali, w tym 2 złote, 2 srebrne i 6 brązowych. W klasyfikacji medalowej Polska uplasowała się na 30. miejscu razem z Azerbejdżanem. Przypomnijmy nazwiska naszych medalistów. Medale złote zdobyli: Tomasz Majewski w pchnięciu kulą (podobnie jak w Pekinie w 2008 r.), Adrian Zieliński w podnoszeniu ciężarów w wadze do 85 kg (co było niespodzianką). Medale srebrne zdobyli: Sylwia Bogucka w strzelaniu z karabinka pneumatycznego na 10 m i Anita Włodarczyk w rzucie młotem. Z kolei medale brązowe wywalczyli: Julia Michalska i Magdalena Fularczyk w wioślarstwie w dwójce podwójnej, Damian Janikowski w zapasach w stylu klasycznym w kategorii do 84 kg, Bartłomiej Bonk w podnoszeniu ciężarów w wadze do 105 kg (także ten wynik można uznać za niespodziankę), Przemysław Marczyński w żeglarskim w klasie RS:X, Zofia Klepacka-Noceti w żeglarskim w klasie RS:X oraz Beata Mikołajczyk i Karolina Naja w dwójce kajakowej na 500 m.

Przypomniałem nazwiska medalistów celowo, ponieważ uratowali (częściowo) opinię o polskim sporcie. Równocześnie przeszli oni do historii sportu i powiększyli grono naszych medalistów olimpijskich.

Nie udało się tego dokonać innym naszym sportowcom, na których liczyli sympatycy sportu w Polsce – mam na myśli przede wszystkim drużynę siatkarzy. Mieli wyśmienity sezon, w końcu wygrali pewnie Ligę Światową. Polscy siatkarze zaliczani byli do głównych kandydatów do medali. Niestety, znaleźli się poza strefą medalową. W trakcie turnieju coś się zacięło w dobrze funkcjonującym kolektywie.

Zawiodła również szermiercza ekipa. Od 1956 roku nasi szermierze zawsze wracali z igrzysk z co najmniej jednym medalem. Z Londynu wrócili z pustymi rękami. Trzeba jednak zaznaczyć, że od lat nasza szermierka wiele straciła ze swojego blasku. Zawodniczki i zawodnicy nie odnoszą liczących się zwycięstw w turniejach międzynarodowych, dotyczy to także młodzieży. Można wyciągnąć wniosek, że plany szkoleniowe opracowywane przez Polski Związek Szermierczy są mało skuteczne. Można by jeszcze wymienić kilka innych nazwisk zawodników, którzy w Londynie nie pokazali się z dobrej strony.

Po igrzyskach w Londynie pozostał pewien niesmak. Udział w imprezie naszych reprezentantów pokazał, że polski sport znalazł się na ostrym wirażu, z którego nie może się wydostać. Mamy kilku, może kilkunastu sportowców, którzy są w stanie podjąć rywalizację ze światową czołówką, nie mamy jednak dobrego zaplecza w postaci młodych zawodników, którzy mogą w najbliższym czasie skutecznie bronić barw narodowych w międzynarodowych imprezach.

Kończąc te przedświątne rozważania, dodam, że kończący się rok nie był najlepszy w historii polskiego sportu. Można mieć nadzieję, że działacze, trenerzy i zawodnicy wyciągnęli właściwe wnioski, które przyczynią się do uzyskiwania lepszych rezultatów w międzynarodowej konfrontacji.

HENRYK MARZEC